Rok II. Nr. III.

BŁĘKITNY WETERAN



ORGAN STOWARZYSZENIA WETERANÓW BYŁEJ ARMII POLSKIEJ WE FRANCJI

Warszawa
Marzec 1937 r.

Cena 60 gr

ROK II MARZEC 1937 NR. 3

BŁĘKITNY WETERAN

ORGAN STOWARZYSZENIA WETERANÓW B. ARMII POLSKIEJ WE FRANCJI

Ilustrowane czasopismo, poświęcone historii i wspomnieniom b. Armii Polskiej we Francji oraz życiu i sprawom organizacyjnym Stowarzyszenia Weteranów b. Armii Polskiej we Francji.

Redakcja i Administracja czasopisma: Warszawa, ul. Długa 50 m. 108. Tel. 11.40-20. Konto P. K. O. Zarz. Głównego Stowarzyszenia Nr. 21.646

Warunki prenumeraty: Numer pojedynczy 60 gr. Prenumerata roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalnie 1 zł. 50 gr

Naczelny Redaktor: Paweł Piskozub.
Wydawca: Stowarzyszenie Weteranów b. Armii Polskiej we Francji.

Mowa
Pana Prezydenta Rzeczypospolitej

W rocznicę imienin Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego Pan Prezydent Rzeczypospolitej, w obecności Panów: Marszałka Śmigłego-Rydza, Prezesa R. M. gen. Sławoj-Składkowskiego, Marszałków Senatu i Sejmu oraz członków najwyższych władz państwowych wygłosił mowę, która ma dla nas Polaków wyjątkowo ważne znaczenie.

Mowę tę omawia szczegółowo codziennie prasa; w Błękitnym Weteranie umieszczamy ją w całości jako wielki dokument chwili obecnej który wraz z deklaracją P. Pułkownika Adama Koca są dla nas, Błękitnych żołnierzy, fundamentem wiary i pracy dla Narodu i Państwa.



„Przemawiając w ubiegłym roku w dniu imienin naszego wielkiego Marszałka, zakończyłem wezwaniem:

„Niech więc z pokolenia na pokolenie każdorazowy Prezydent Rzeczypospolitej co roku w dniu imienin Józefa Piłsudskiego przypomina narodowi Jego trudy, Jego intencje i wytyczne, zawarte w Jego przebogatej spuściźnie"

Stosując się do tego apelu, przypomnę na wstępie z mego zeszłorocznego przemówienia, co zawdzięczamy Piłsudskiemu, Jego geniuszowi i Jego nadludzkiej wprost pracy:

„Stworzył nam państwo mocne, zręby tego państwa zbudował, ustalił jego granice, obronił nas przed niebezpieczeństwami z zewnątrz idącymi. Swoją pracą, przemówieniami i licznymi publikacjami wychował duże rzesze ludzi, a jego pisma i przemówienia będą miały na szereg pokoleń swój wychowawczy wpływ.

„Nie ma dziedziny w Polsce, w którejby Piłsudski nie pozostawił trwałego śladu swojej genialnej indywidualności.

„Postacią swoją stworzył nam wielką tradycję, która przez setki lat będzie podtrzymywała nasz naród w najszlachetniejszych uczuciach dla państwa.

„Przez stworzenie potężnego i zdrowego organizmu wojska zapewnił duże bezpieczeństwo od zewnątrz i spokój dla twórczej pracy wewnątrz kraju".

Podczas długoletniego okresu swojej pracy nie wypuszczał z rąk kierownictwa sprawami zagranicznymi, prowadząc politykę nadzwyczaj prostolinijną i pewną jawności. Żadnych tajnych układów nie prowadził. Polityka ta okazała się dla Polski nadzwyczaj szczęśliwa, a prowadzi ją nadal bardzo umiejętnie i pomyślnie uczeń wielkiego Marszałka minister Beck, nie odstępując ani na krok od wytycznych swojego mistrza.

Pod wielkim dziełem konstytucji kwietniowej zdążył jeszcze Marszałek położyć swój podpis.

Wreszcie powierzonym mi ustnym testamentem wskazał jenerała Śmigłego - Rydza jako swego następcę na stanowisko naczelnego wodza sił zbrojnych, a rzeczywistość naszego państwa bezsprzecznie wymagała, ażeby cała Polska widziała w nim również i wodza narodu.

Hasłem, dla którego żył i pracował Marszałek Piłsudski od wczesnej młodości, była walka o niepodległość Polski. Hasło to było tak wielkie, że żadne inne nie mogły z nim współzawodniczyć i trzeba było wszystko temu hasłu podporządkować. Czynił to bezwzględnie i konsekwentnie Piłsudski i dlatego przy sprzyjających innych okolicznościach, które zresztą przewidział, wywalczył ostatecznie naszą niepodległość.

Osiągnąwszy ten pierwszy cel, nie ustawał w nadludzkiej pracy postawiwszy sobie dalsze hasło równie wielkie, jak i pierwsze: hasło ugruntowania zdobytej niepodległości.

Bo przecież nie o chwilowy efekt chodziło, nie o „sezonowe" państwo, jak niektórzy nasi sąsiedzi przypuszczali.

Mówił mi nie raz Piłsudski, że okoliczności zewnętrzne i nadal nam sprzyjają. Powinniśmy więc czym prędzej skorzystać z tego zacisza politycznego i wznieść państwo na takie wyżyny mocy, abyśmy mogli w razie zmiany warunków zewnętrznych na mniej sprzyjające — mocą własną niepodległość utrzymać i dalej prowadzić państwo do coraz większej potęgi. Nie wolno nam bowiem zapomnieć, że dogodne dla nas warunki zewnętrzne nie muszą trwać długo.

A zatem hasło ugruntowania niepodległości jest równie wielkie, a wszystkie inne w obecnej chwili są względnie małe, bardzo małe. Temu naczelnemu hasłu wszystkie inne należy bezwzględnie podporządkować, bo może nie będziemy mieli dużo czasu do stracenia.

Jeżeli w porę nie wyzyskamy sprzyjających dla nas okoliczności zewnętrznych, to nawet mimo największych lecz spóźnionych wysiłków możemy się znaleźć w sytuacji nad wyraz trudnej w utrzymaniu naszej pełnej niezależności.

Wiele, bardzo wiele — jak to już wspomniałem w moim przemówieniu — zawdzięczamy wielkiemu Marszałkowi w pracy dla ugruntowania Niepodległości.

Pozostała jednak jeszcze bardzo ważna dziedzina, której Piłsudski nie zdążył do końca doprowadzić, przygotowując jedynie warunki, któreby dalszą pracę ułatwiały.

O tej dziedzinie tak mówi w jednym ze swoich odczytów

„Dla obrony granic państwa społeczeństwo winno dać przede wszystkim to, co w języku wojennym nazywa się „morale". Naród, który owej „morale" nie ma dość mocno wyrobionej, ma w każdej wojnie z góry olbrzymie szanse przegranej".

W innym zaś przemówieniu Piłsudskiego czytamy:

„Idzie o to, ażeby kraj nasz zrozumiał, że swoboda to nie jest kaprys, że swoboda to nie jest „mnie wszystko wolno, drugiemu nic", że swoboda jeżeli ma dać siłę, musi jednoczyć, musi łączyć, musi rękę sąsiadom i przeciwnikom podawać, musi umieć godzić sprzeczności a nie tylko przy swoim się upierać".

Stwierdzić niestety muszę, że owej „morale" jeszcześmy w sobie dostatecznie nie wyrobili. Nie jesteśmy zjednoczeni, co by nam dozwalało godzić sprzeczności, rękę podawać przeciwnikom — celem zdobycia siły. Zamiast zjednoczenia jesteśmy rozproszkowani, a nawet dosyć skłóceni. Powiedziałbym, że pod względem psychicznym jesteśmy jeszcze mocno rozbrojeni.

Samo dozbrojenie armii pełnej mocy nam nie da i nie obwaruje dostatecznie naszej niepodległości. Musimy struny naszej psychiki, psychiki milionów obywateli nastroić na harmonijny dźwięk i podporządkować wszystko najważniejszemu hasłu — hasłu ugruntowania niepodległości.

Jeżeli każdy, a przynajmniej wielu z nas, to wielkie hasło będzie miał stale przed oczyma, to pracą swą w każdym przypadku będzie mógł łatwo kierować i omijać lub korygować wszystko, co godzi szkodliwie w to hasło.

Ta nasza słabość zakorzeniona w psychikę obywateli nie uszła uwagi naczelnego wodza marszałka Śmigłego-Rydza, który w pełnym zrozumieniu swojej roli w Polsce powziął inicjatywę energicznej pracy dla skonsolidowania rozproszkowanego społeczeństwa.

Dał temu wyraz dnia 24 maja 1936 r., mówiąc:

„Jak można organizować państwo, jak można myśleć o uzdrowieniu czegokolwiek w państwie wtedy, kiedy się nie ma tej zorganizowanej, jednolicie kierowanej woli", a zadając sobie pytanie, w imię czego trzeba ją organizować, odpowiada: „Uważam, że jedynym naszym hasłem, które może być tym pionem naszym moralnym jest hasło obrony Polski".

I dalej mówi o tym:

„Jestem głęboko przekonany, że w tym programie wszystko się znajdzie, że się znajdzie droga wyjścia z naszych stosunków gospodarczych, że znajdzie się droga, która nas doprowadzi do wyzwolenia sił moralnych i twórczych w narodzie do skupienia ich, do wytworzenia nowych wartości, których nam tak bardzo potrzeba. Mam wrażenie, że to hasło obrony Polski jest jak gdyby potężnym łańcuchem, który jest jednym końcem przytwierdzony do Polski. Chodzi o to, żeby jak najwięcej dłoni chwyciło za ten łańcuch, trzeba go sobie przerzucić przez ramię i ciągnąć, ciągnąć, chociażby w krzyżach trzeszczało".

„Aby Polskę podciągnąć wyżej".

Rzuciwszy to hasło, powołał marszałek Śmigły Rydz na bezpośredniego kierownika tej pracy oddanego sobie i zasłużonego w walkach o niepodległość żołnierza — pułkownika Koca. Dając wytyczne dla tej działalności, zapewnił jej marszałek równocześnie swoje stałe poparcie i opiekę.

W ten sposób powstała deklaracja pułkownika Koca, powołująca do życia Obóz Zjednoczenia Narodowego.

Na kilka tygodni przed ogłoszeniem tej deklaracji marszałek Śmigły Rydz przedstawił mi szczegółowo jej treść, która w zupełności zgadzała się z moimi rozważaniami we wszystkich omawianych w niej dziedzinach.

Okolicznością tym radośniejszą dla mnie było, że treść tej deklaracji mogłem uważać jako „wyznanie wiary" naczelnego wodza.

Fakt, że inicjatywa utworzenia obozu zjednoczenia narodowego wyszła od naczelnego wodza, którego po osieroceniu nas przez wielkiego marszałka już znaczna część Polski uważa i za wodza narodu — musi wywołać duży oddźwięk w społeczeństwie, a nawet wytworzyć żywiołowy ruch konsolidacj

narodowej. Bo przecież wysunięcie tego hasła wypadło w momencie szczególnie dla nas korzystnym. W ielu bowiem z nas zrozumiało już dokładnie, że w stanie rozproszkowania niczego dobrego dla państwa spodziewać się nie można, a większa częśc społeczeństwa wprost instynktownie musi odczuwać osobliwość momentu dziejowego.

Gdyby ta chwila dziejowa minęła przy obojętności większej części społeczeństwa, to przyszłe pokolenia nie byłyby w stanie nam tego darować.

Wierzę mocno w zdrowy nasz instynkt, boć przyglądaliśmy się przecież takim spontanicznym reakcjom u innych wielkich narodów, które instynkt samozachowawczy skupiał około ich wodzów i uratował w porę ich państwa od rozkładu i upadku.

A takie przykłady przecież muszą i na nas działać.

Naturalnie, że w każdym z tych państw proces konsolidacyjny inaczej się odbywał, więc i u nas odmiennie musi się kształtować. Inne warunki wymagają innych metod i proste naśladowanie obcych wzorów musiałoby oczywiście doznać zupełnego niepowodzenia.

Sądząc z wielkiego nieprzerwanego napływu zgłoszeń do obozu Zjednoczenia narodowego, można już dziś stwierdzić że treść deklaracji znalazła głęboki oddźwięk w społeczeństwie i to tak duży, że można to przyjąć za żywiołowy objaw naszego zdrowego instyktu konsolidacyjnego.

Obserwując to zjawisko, nie ulega wątpliwości, że ten zdrowy instynkt samozachowawczy narodu będzie się nadal ujawniał aż do chwili zwycięstwa, kiedy przeważająca większość obywateli będzie pozyskana dla hasła Zjednoczenia narodowego.

Naturalnie, że wśród licznych ugrupowań naszego społeczeństwa nie wszystkie docenią odrazu wagę momentu i doniosłość tego hasła.

Przywódcy szeregu ugrupowań będą czynić wysiłki, ażeby swoich zwolenników powstrzymać od działania w myśl tego zdrowego instynktu.

Ale to naturalny objaw. Bo tylko przywódcy, którzy umieją objektywnie patrzeć na bieg rzeczy, mogą się zdobyć na rezygnację z wyłącznego kierownictwa oddaną sobie rzeszą i ofiarować swą współpracę na rzecz wyższych haseł.

Ci, którzy nie umieją się na to zdobyć, mogą tylko chwilowo powstrzymać, ale nie zdołają udaremnić przejawów zdrowego instynktu w tak osobliwej dla kraju chwili.

Grupy ich i partie będą stale topniały aż wreszcie zbyt późno spostrzegą się, że ich zapory były budowane i umocnione zbyt słabo, by móc powstrzymać żywiołowe zjawisko.

Dzięki podjęciu przez naczelnego wodza dalszego ciągu dzieła naszego wielkiego Marszałka z pełnym wykorzystaniem jego trudu wychowawczego, jego wskazań i wytycznych — praca idzie dalej bez większego zatrzymania celem pełnego ugruntowania niepodległości naszej drogiej ojczyzny.

A że to ugruntowanie musi się opierać na naszej mocy nie tylko duchowej ale i materialnej, więc hasło to zmusza nas do pracy we wszystkich kierunkach, we wszystkich dziedzinach — do pracy, której rezultaty nie tylko zapewnią nam naszą najdroższą zdobycz, ale doprowadzą do pełnego rozkwitu życia kulturalnego i gospodarczego naszego państwa.

Za położenie podwalin i zrębów tej wielkiej przyszłości— pokolenia polskie po wsze czasy zachowają wdzięczność dla wielkiego budowniczego i wychowawcy narodu".

Uroczystości imieninowe Naszych Wodzów

Rok rocznie w dniach 18 i 19 marca obchodzi cała Polska uroczyście imieniny Wielkiego Marszałka Józefa Piłsudskiego i Marszałka Edwarda Śmigłego Rydza. Z otrzymanych sprawozdań tegorocznych wynika, że i tego roku, jak zawsze, placówki nasze, oraz zarządy okręgów wzięły liczny udział w uroczystościach dwóch Wielkich Imienin dając tem wyraz swych uczuć i oddania.

Prezydium Zarządu Głównego na czele z Prezesem Józefem Wielowieyskim w imieniu całego naszego stowarzyszenia złożyło dnia 18 marca w Gen. Inspektoracie Sił Zbrojnych życzenia Panu Marszałkowi Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi wpisując się do księgi, oraz dnia 19 marca było w Belwederze celem oddania hołdu pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego.



Pan Prezydent Rzeczypospolitej Prof. Ignacy Mościcki składa wieniec w Belwedederze.



Pan Marszałek Śmigły-Rydz składa wieniec.

Wszystkim naszym czytelnikom życzymy
Wesołego Alleluja

JÓZEF WIELOWIEYSKI

Dwudziestoletnia rocznica

Kochani Koledzy!

Ostatni nasz walny zjazd z dnia 13 i 14 września we Lwowie zalecił by Zarząd Stowarzyszenia zorganizował odpowiedni obchód w dniu 5 czerwca 1937 jako w dwudziesto letnią rocznicę wydania przez Prezydenda R. P. Francuskiej dekretu o utworzeniu na terytorium Francji niezależnej Armii Polskiej z własnemi sztadarami. Rozumiejąc że jaka kolwiek uroczystość o charakterze narodowo-wojskowym nie jest do pomyślenia bez aprobaty Naczelnego Wodza zwróciliśmy się do Pana Marszałka Śmigłego Rydza przedstawiając mu naszą w tym względzie inicjatywę.

Pan Marszałek łaskawie zechciał uznać myśl naszą za słuszną uwzględniając naszą prośbę, zaszczycił uroczystości nasze Swym Wysokim Protektoratem i przyrzekł wziąść w niej udział.

Jest to dla nas fakt bardzo doniosły. Jeszcze bardziej w sercach naszych potęgujący nasze już i tak całkowite Naczelnemu Wodzowi oddanie i zgłębi serca wykwita każdemu z nas na usta okrzyk: Marszałek Śmigły-Rydz niech żyje!

Historyczny akt z dnia 5 czerwca 1917 roku wraz z późniejszym uznaniem przez poszczególne państwa sojusznicze armii polskiej we Francji za armię „sojuszniczą i współwojującą" był formalną podstawą do udziału Polski w Traktacie Wersalskim a więc tym samym w swym historycznym znaczeniu przekracza ramy „Armii Polskiej we Francji" a dotyczy całego Narodu Polskiego i wszystkich bojowników o niepodległość Polski. W myśl wskazań Marszałka Śmigłego-Rydza by tuszować to co nas dzieli a uwypukłać to co nas łączy zwróciliśmy się do pana Generała Góreckiego jako prezesa Federacji z zapytaniem czy by nie uznał za wskazane by uroczystość ta zorganizowana była z naszej inicjatywy ale pod sztandarem Federacji i miała charakter uroczystości święconej przez wszystkich, którzy brali udział w walkach o niepodległość, bez względu na to w jakich formacjach, i którzy wchodzą w skład Federacji.

Prezydium Zarządu Głównego Federacji podzieliło całkowicie nasz pogląd a Prezes Federacji Generał Górecki w rozmowie ze mną użył określenia „Będzie to wasze święto ale zarazem święto całej Federacji, wszystkich tych, którzy walczyli o niepodległość. Sam stanę na czele Komitetu Organizacyjnego." Za słowa te ślemy wszyscy Generałowi Góreckiemu nasze serdeczne żołnierskie podziękowanie

Koledzy! Pobudka już zagrana! Pobudka o charakterze ogólno polskim, namacalny wyraz tej jedności którą wskazał nam Marszałek Rydz-Śmigły a tak świetnie ujął w swej deklaracji pułkownik Koc „Do apelu muszą stanąć wszyscy, nie tylko ci co są zrzeszeni w naszym Stowarzyszeniu, ale wszyscy ci, którzy mieli zaszczyt nosić błękitny mundur. Uroczystość 5 czerwca to nie tylko historyczne stwierdzenie historycznych faktów to święto Błękitnego Żołnierza który tak jak w roku 1919 rozkazem Naczelnego Wodza Marszałka Józefa Piłsudskiego wcielony został w skład Jednolitej Armii Polskiej tak w dniu piątym czerwca jeszcze raz stwierdzi że duszą i ciałem jest jednolitą nierozerwalną częścią bojowników o niepodległość, jednolitą nierozerwalną częścią narodu polskiego, jednolitą opoką na której spoczywa i na wieki spoczywać będzie wielkość i chwała naszej Ojczyzny „Bóg i Ojczyzna wedle rozkazów Naczelnego Wodza".

JAN STARZYNA.

Błogosławieni

Błogosławieni, którzy na rozdroże
ręką przeznaczeń śród mroków rzuceni,
— patrząc w przewodnie światło gwiazd w przestworze—
szli dobrą drogą pośród nocnych cieni...
bowiem po nocy, co się zda bez końca,
wejdą nad nimi złote blaski słońca.

Błogosławieni, którzy w dzień upalny,
— gdy chłód ust żarem spiekłych nie ochrania —
nie złorzeczyli na cel swój oddalny,
lecz się rzeźwili hasłami przetrwania...
albowiem oni w męstwo serc bogaci,
ku wybawieniu wiodą swoich braci.

Błogosławieni, którzy w czas popłochu
nie dają w piersiach róść gnębiącej trwodze...
ale podnoszą słabych braci z prochu
i wiodą rzesze, jako dobrzy wodze...
— Błogosławieni — bowiem im zwycięstwo
pewnie przypadnie za ich ducha męstwo.

Błogosławieni owi mężni ludzie,
co praw swych świętych bronią niezachwianie,
albowiem oni, walcząc w życia trudzie
zwyciężą przemoc! — Raczej słońce stanie
i blask swój w mroków pogrąży topieli,
niźliby oni zwyciężyć nie mieli!..

WŁADYSŁAW JAGNIĄTKOWSKI

Pierwsze kroki

(wspomnienie z 1912 roku)

Pułkownik Jagniątkowski b oficer Armii Francuskiej, komendant fortu Paryża, późniejszy organizator Armii Polskiej we Francji był jednym z pierwszych działaczy niepodległościowych na terenie Francji

Poniższe jego wspomnienie napewno zainteresuje naszych czytelników

Myślę, że nie było młodzieńca Polaka, który nie marzył o sposobie wyzwolenia Ojczyzny z pod jarzma.

Naturalnie każdy z tych marzycieli w swoim planie odgrywał rolę główną.

Ale... przy zetknięciu się z rzeczywistością tracił zazwyczaj wytrwałość, a plan jego pozostawał na papierze, tajemniczo zachowany w najgłębszym kąciku, ażeby go nie odkrył zaborca, bo był to zawsze plan najlepszy, który jedynie prowadził do celu! Każdy patriota posiadał swój plan.

W roku 1912, gdym objął jako oficer francuski dowództwo nad jednym z fortów pod Paryżem, pewnego dnia zjawił się u mnie jakiś młodzieniec z prośbą czybym nie zechciał wykładać nauki wojskowe w szkole przyszłych oficerów... Wojsk Polskich?..

Przyszłych oficerów Wojsk Polskich?! powtórzyłem szeroko otwierając oczy — Jakto? nie rozumiem.

Wówczas ów młodzieniec opowiedział mi, ku wielkiemu memu zdziwieniu, że w Paryżu istnieje taka szkoła już od roku, że posiada około 60 uczniów, że on właśnie prowadzi musztrę formalną, ale narazie brak im profesora do wykładów teoretycznych.

Czy miejscowa policja wie cośkolwiek o tych kursach? zapytałem.

— Nie, gdyż przyszłe Wojska Polskie mają zamiar w chwili stosownej wystąpić przeciw Moskalom, a ze względu na sojusz Francji z Rosją musimy się ukrywać.

Dotychczas chodzimy na ćwiczenia co niedziela do lasku Menden z kijami, niby jako towarzystwo sportowe, ale kupiliśmy kilka prawdziwych karabinów, z którymi robimy ćwiczenia w pracowni malarza na rue Vercingetorix. Kursa teoretyczne — mówi dalej — odbywały się 2 razy na tydzień w pracowni kolegi Pst, na rue Notre Dance des Champs.

Wkońcu opowiedział mi o ruchu zbrojnym Sokołów w Galicji, o tworzeniu drużyn strzeleckich przez Józefa Piłsudskiego w Krakowie na wypadek wojny Austrji z Rosją etc. etc.

Propozycję przyjąłem z niezmiernym wzruszeniem bez analizy, co z tego wyniknie i na co się to przyda?

Całą rzecz uważałem za przejściową zabawkę, ale jako jedyny oficer Polak w Paryżu, nie mogłem prośby odmówić

Chociaż uprzedziłem tego młodzieńca że gdyby rząd tę szkołę odkrył, toby mnie conajmniej natychmiast wyrzucił z armii.

W oznaczony więc dzień i godzinie przyszedłem na wykład. Na pierwszy raz przyszedłem w mundurze wojskowym. Ze zdziwieniem jednak spostrzegłem, że owa zabawka zawiera w sobie ogromną siłę moralną. Istotnie, był to zbiór ludzi jakby natchnionych, posiadających niezłomną wiarę w przyszłość. Zbiór bohaterów, zdolnych do największych poświęceń i nie uznających żadnych przeszkód. Wszyscy oni byli przekonani, że z wybuchem wojny między Austrią a Rosją Polska musi zmartwychwstać.

Ich zapał elektryzujący powoli mnie także ogarnął.

Po przedstawieniu zebranych uczniów, między którymi znajdowali się: Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug, Wieniawa Długoszewski Stanisław Markus, Patroński, Unupis, Głowiński, Grzędziński i 50 innych, których nazwisk już nie pamiętam, rozpocząłem pierwszy wykład taktyki.

Obszerna pracownia znajdowała się w półcieniu, oświetlona tylko jedną lampą, wiszącą tuż przy tablicy; okna zasłonięte kotarami, a na zewnątrz domu czuwała straż.

Całość przedstawiała się poważnie, groźnie, tajemniczo...

Wiekowe jarzmo udoskonaliło w nas robotę podziemną: kursa i ćwiczenia trwały dwie zimy z rzędu w centrum stolicy świata bez żadnych przeszkód. Nikt o nich nie wiedział z wyjątkiem zainteresowanych.

Pewnego wieczoru w lutym 1914 r. wsunął się cichaczem do naszej sali Józef Piłsudski. Miałem właśnie wykład o fortyfikacji. Komendat, tak go już wówczas nazywano, wysłuchał lekcji do końca, poczem przedstawiwszy mi się rzekł:

Wolałbym, ażeby Pan nie nalegał zbytnio na fortyfikacje, bo żołnierz, jak się raz położy za okopem, to potem trudno go z tamtąd wyciągnąć zwłaszcza, gdy kule świszczą wokoło. Skłoniłem sie posłusznie. Nie przewidywaliśmy wówczas, że niemal cała przyszła wojna polegać będzie na okopach, że prusacy zmienią bohaterów w kretów.

Nazajutrz popołudniu udaliśmy się z żoną na herbatkę do Sieroszewskich, był to ich dzień przyjęć, zebrało się więc jak zwykle bardzo dużo osób. Komendant przyszedł także. Widziałem go poraz pierwszy wyraźnie i mogłem z nim swobodnie porozmawiać. Wysoki, szczupły, twarz ściągła, ozdobiona długimi wąsami i ścięta w klin bródką, oczy inteligentne, patrzące wciąż w dal; w obejściu prosty, skromny, mało imponujący. Opowiadał o swych drużynach, które pragnałby przeprowadzić przez życie obozowe w Zakopanem, ale... brak mu pieniędzy.

Chciałby urządzić ogólne manewry dla Sokołów, ale sztab austriacki stawia mu ciągle jakieś przeszkody i t. d.

W kilka dni później miał odczyt w sali Geograficznej na Boulevard St. Germain. Cała kolonia polska z Paryża była obecna.

Komendant rozwinął potrzebę przygotowania zbrojnego na wypadek wojny, twierdząc, że powinniśmy w chwili stosownej uwidocznić Europie naszą tężyznę narodową, siłę i zdolności rycerskie, że Galicja obecnie najwięcej się nadaje do zrealizowania tych planów, trzeba więc korzystać. Najpierw zbijemy Moskali — mówił— a potem zobaczymy i t. d. Niektórzy przyznawali mu słuszność, ale 9/10 słuchaczy uśmiechali się pod wąsem, nazywając go marzycielem, dążącym lekkomyślnie do zguby kraju.

Opuścił Paryż nieco przygnębiony, lecz nadziei nie tracił, zdecydowany pracować dalej na ziemi Ojczystej.

Tegoż roku, zwolniwszy się z obowiązków służbowych, postanowiłem pomódz Komendantowi w jego zamierzeniach materjalnie.

W tym celu utworzyłem w Paryżu odpowiednie legalne towarzystwo sportowo-bankowe pod nazwą Ekonomia, a następnie wyjechałem do Polski dla dalszej propagandy i rozwoju towarzystwa, dążącego do opodatkowania całego kraju, na korzyść zwiększenia Polskich sił zbrojnych.

Wojna zaskoczyła mnie w Zakopanem.

Dr IGNACY WIENIEWSKI, por. rez.

Z ziemi francuskiej do Polski

(część trzecia i ostatnia)

Gdzieś za Trewirem, na jakiejś małej stacyjce przysiadł się do pociągu młody adjutant francuski, jadący w służbie łącznikowej do Koblencji. Zadowolony, że trafił na grupę Polaków, umiejących po francusku, wdał się z nimi w rozmowę, by mu czas podróży prędzej przeszedł. Okazało się, że posiadał znaczne wykształcenie, ale o Polsce niewiele wiedział. A raczej tyle, ile każdy przeciętny Francuz. Z dzienników wyczytał, że był to kraj podzielony na trzy zabory, które dzięki klęsce niemieckiej zrastały się właśnie w jedno państwo. Ale na to zjednoczenie zapatrywał się sceptycznie.

— Bardzo możliwe — mówił — że politycznie będzie to jeden organizm, oznaczony na mapie jedną barwą. Ale wewnętrznie będziecie tworzyć trzy odrębne narodki, boście przecież tak długo żyli w zupełnie odrębnych warunkach i uczyli się w tak różnych szkołach życiowych, jak niemiecka i rosyjska.

Polacy zaprotestowali gorąco. Było między nimi dwu Królewiaków, jeden Małopolanin i jeden Poznańczyk, a że zżyli się ze sobą na obczyźnie, więc różnice między nimi nie dały się dotąd wcale odczuć. Królewiak nie otrzymał jeszcze miana »zrusyfikowanego dyletanta«, Małopolanin nie był »ciasną głową austriackiego biurokraty«, a na Poznańczyku nie ciężyło piętno »zmaterializowanego separatysty«. Więc grupka stanęła solidarnie w obronie duchowej jedności narodowej.

— Pan, jako Francuz, nie jest zdolny zrozumieć tego szalonego entuzjazmu, z jakim łączą się te ohydną przemocą rozerwane części jednego narodu. Przecież my na tę chwilę czekaliśmy z utęsknieniem od całych pokoleń, nasi poeci marzyli o niej, a nasi ojcowie krew przelewali by szczęście te zdobyć. Z jaką niesłychaną radością powitała Francja powrót dwóch tylko prowincji, utraconych przed piędziesięciu laty. Jakaż więc musi być nasza radość, że odzyskujemy całą Ojczyznę, rozszarpaną przed półtora wiekiem.

— A oprócz przyczyn uczuciowych — dodał drugi — są powody czysto racjonalistyczne, dla których musi się urzeczywistnić ta wewnętrza spójnia naszego narodu. Przecież każda dzielnica nauczyła się czegoś, czego innym brak. Małopolska dostarczy pozostałym częściom kraju gotowych kadr urzędniczych, urządzi w Polsce szkolnictwo, a, co najważniejsza, rozkrzewi w całym kraju kulturę narodową, którą tak swobodnie mogła u siebie rozwijać. Co się tyczy tego podobno zacofanego Królestwa, to jednak życie ekonomiczne nieposlednio w niem kwitnęło, co w dzisiejszych warunkach przyniesie państwu pożytek. Wreszcie były zabór pruski, stojący najwyżej pod względem kultury materialnej, nauczy Polaków organizacji i europejskiego ładu. Czy sądzi Pan, że nie potrafimy dostrzedz w sobie wzajemnie tych zalet, które się tak doskonale uzupełniają? Czy nie ułatwią nam one wewnętrznego zjednoczenia?

Francuz kiwał uprzejmie głową na znak, że wywody te trafiają mu do przekonania, ale przy tym uśmiechał się zaledwie dostrzegalnie.

— — — — — — — — — — — — — —

Był już wieczór. Jasny księżyc w pełni zalał światłem piękny kraj i przeglądał się w wodach Mozeli, której brzegiem teraz pociąg jechał.

Krajobraz zmienił się. Z szerokich, żyznych pól zagłębiono się w tajemnicze, mroczne doliny, między lesiste wzgórza, na których szczytach ruiny starych zamków rysowały się w mroku, nasyconym poświatą miesiąca,

Orle gniazda Raubritterów...

Patrzono, czy na której z baszt poszczerbionych nie podniesie się widmo starego wojownika germańskiego, co na wyprawy przeciw Lechitom chadzał, i czy nie zachrzęści zbroja na widok żołnierzy polskich...

Ale żaden cień się nie ukazał... Zamki milczały ponure, jak cały kraj niemiecki...

Nagle wzgórza urwały się a przed oczyma jadących otworzyła się szeroka równina. Z boku w głębi drzemała masa wielkiego miasta, a u stóp pociągu roztoczyła się olbrzymia rzeka.

Ren.

Pełen tajemniczego przerażenia aż przestał na chwilę szumieć i pod pierścieniami mostów przewijał się cicho, jak czarny wąż o srebrnych plamach.

Bo wiele on już widział, stary Strom germański. Widział hordy teutońskie, topiące się w jego nurtach w panicznej ucieczce przed kohortami Caesara i karzący miecz Klodwika na karkach Alemanów i straszliwe ciosy Turenne'a i walne zwycięstwa francuskiej armii rewolucyjnej i piorunujące pogromy napoleońskie i sztandary armii Foch'a, co nurzały się w jego wodach...

Ale wojska polskie?...

Coś się marzy jego córom-rusałkom, że przed wiekiem widziały nieznanych wojaków o wysokich czakach kwadratowych...

Lecz to już tak dawno... legenda...

Więc na widok rogatywek szumiał z podziwu Ren sędziwy i pienił się z wściekłości...

— — — — — — — — — — — — — —

Dwa dni jeszcze jechali błękitni żołnierze przez Niemcy, zanim dotarli do polskich granic.

Minąwszy Koblencję i amerykańskie terytorium okupacyjne pociąg toczył się prędko, zrzadka tylko zatrzymując się na większych stacjach dla rozdzielenia posiłku między żołnierzy. Chciano bowiem szybko przebyć kraj wrogi, by uniknąć awantur z Niemcami.

Oni zaś ze swej strony, ogłuszeni jeszcze ciosami klęski, również nie mieli ochoty narazić się na zły humor polskich żołnierzy. Więc na wszystkich dworcach porozlepiali plakaty, zatytułowane: »Der Durchzug der Polen«, gdzie wzywali ludność do spokojnego zachowywania się wobec przejeżdżających, pomimo tego ciężkiego dla każdego Niemca widoku. Starzy, bokobrodaci urzędnicy stacyjni o obliczach buldogów, nad którymi wznosiły się wysokie czapy urzędnicze, zaciskali zęby, odbierając dyrektywy od prowadzącego pociąg wyższego oficera francuskiego i patrzyli z podełba na polskie mundury. Złościło ich wspaniałe wyekwipowanie błękit-

nej armii, którą prasa niemiecka przedstawiała, jako »obdartych najemników Ententy«, złościł ich groźny widok samego pociągu. Bo za otwartymi wagonami, z których śmiały się zadzierżyste twarze żołnierzy, ciągnęły długie platformy z armatami, potem z amunicją, dalej z samolotami, wreszcie ze strasznymi czołgami. Nic więc dziwnego, że krwią nabiegały Niemcom oczy, gdy patrzyli na tę potęgę polską, która swobodnie przejeżdżała przez sam środek Germanii.

Czwartego dnia podróży koleją, we wtorek 22-go kwietnia w południe, ujrzeli żołnierze mury Głogowa i Odrę. Był to już jakoby przedsmak Polski. Ale do granicy był spory kawał drogi, bo Traktat Wersalski nie wytyczył nam jeszcze zachodnich rubieży i do Polski należało tylko to, co zdobył miecz powstańca poznańskiego. Ale choć nie całym Wielkim Księstwem zawładnęła Rzeczpospolita, władał tam niepodzielnie duch polski mimo pruskich bagnetów. Bo oto gdy tylko pociąg zjawiał się na stacyjkach zwalniając biegu, nagle z pomiędzy żołnierzy niemieckich, strzegących dworca, wyrywał się niejeden »Prusak« i wskakiwał co żywo do wagonu, witany głośnym »hurra« przez Polaków. Zaczem zwracał się po raz ostatni do swych byłych kolegów i wrzasnąwszy: »A to macie odemnie pierony, na pamiątkę«! — ciskał w ich stronę pikelhaubę! Niemcy, pozostali na stacji nie posiadali się z wściekłości, ale przecież nie mogli strzelać do wagonów. Później jednak zmądrzeli i niestawiali już Polaków na straży koło toru, którym miała przejeżdżać błękitna armia.

Leszno było ostatnim przystankiem na terytorium niemieckim. W następnej miejscowości Kąkolewie, stały już wojska wielkopolskie.

Żołnierze z radosną gorliwością przygotowywali się do wjazdu do Ojczyzny. Czyścili skwapliwie mundury, poprawiali rynsztunki, byle godnie pokazać się w kraju. Poczem, stojąc u wejść wagonów, rozgorzałymi oczyma patrzyli ku wschodowi, by ujrzeć upragnioną granicę Była to godzina trzecia popołudniu.

Wreszcie od strony parowozu dał się słyszeć przeciągły świst a równocześnie ujrzano w dali białoczerwone chorągwie stacyjne.

Wówczas, jak z pośród owych tułaczych szeregów Ksenofontowych na widok zbawczych fal oceanu wyleciał radosny okrzyk: »morze, morze!« — tak i z piersi tych stęsknionych żołnierzy-pielgrzymów u wrót ziemi ojczystej wybiegło wielkie wzruszone wołanie: »Polska, Polska!«

Pociąg stanął. Stacyjka była bogato udekorowana barwami narodowemi i ozdobiona napisem: »Witajcie błękitni rycerze«. Na ziemi walała się stara tablica niemiecka ze znienawidzonem »Kaukel« a na budynku stacyjnym czerniała nowa z polską nazwą »Kąkolewo«.

Żołnierze wysypali się z pociągu. W tejże chwili pluton wojska wielkopolskiego, stojący na peronie, rozebrzmiał słowami Roty. Nie była to huczna orkiestra, lecz prosta pieśń ulatniająca z gorących piersi młodzieńczych. A żołnierze, gdzie który stał, każdy wyprężył się, jak struna, i w postawie na baczność, z ręką przy hełmie, słuchał wspaniałej przysięgi...

»Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy Ducha...

Rzewność niezmierna ogarnęła serca żołnierzy, kiedy widzieli to bratnie wojsko i słuchali świętych słów hymnu — pierwszy raz na polskiej ziemi. I każdy czuł że zaprawdę »tylko jedną taką wiosnę miał w życiu«...

Patrzyli oficerowie francuscy na wzruszenie polskie i w milczeniu salutowali. Oni, którzy wkraczali do oswobodzonej Alzacji, oni rozumieli.

Zaś w górze, w błękicie niebios, płynął cicho klucz powracających żórawi...

— — — — — — — — — — — — — —

W Kąkolewie mogli się żołnierze nacieszyć tylko kolegami z wojska wielkopolskiego, bo ludności cywilnej prawie nie było w tej maleńkiej mieścinie, leżącej jeszcze podówczas w strefie wojennej. Za to na następnych większych stacjach, w Kobylinie, w Krotoszynie a zwłaszcza w Ostrowie, entuzjazm, z jakim Poznańczycy przyjmowali Błękitną Armię, nie miał granic. Na dworcach oczekiwały przybyszy bramy tryumfalne z sośniny, które milsze były żołnierzom, niż owe łuki kamienne, pod którymi przechodziły zwycięskie legjony cezarów rzymskich.Zaś zapobiegliwe gosposie wielkopolskie naznosiły w pięknych koszyczkach moc smakołyków wielkanocnych, którymi nadobne córeczki z miluchnym uśmiechem częstowały żołnierzy:

— Może pan wojak pozwoli tych obkładanych sznitek?

— Zaś może ździebko tego placka z makiem?

Czyż mogli żołnierze odmówić tak kuszącym namowom? A gdy po onych słodkości dodała jeszcze Ostrowianka modry hiacent lub białą różę, zdawało im się, że do raju zabłądzili w wędrówce życiowej...

Aż do wieczora jechali przez bogatą ziemię poznańską i cieszyli się dobrobytem tej szczęśliwej krainy, co nie zaznała nawałnicy wojennej. Ale kiedy późnym wieczorem minęli zburzony przez Niemców Kalisz, co cały wyległ na ich powitanie, obudzili się nazajutrz wśród pól głodu i zniszczenia. Widzieli smutne, wynędzniałe wioszczyny, nieodbudowane jeszcze chaty i lud biedny, skołatany nieszczęściami i jakiś wystraszony, a przede wszystkim zziębnięty i głodny. Małe dzieci, zaledwie okryte łachmanami, podbiegały do przejeżdzającego pociągu, skomląc o jedzenie. Żołnierze rzucali im hojnie kawały chleba, o które się biedactwa biły z zaciekłością wygłodniałych zwierzątek.

Wreszcie około południa wyłoniły się zdaleka wieże Warszawy. Wielu z żołnierzy patrzyło po raz pierwszy na mury stolicy a wszyscy po raz pierwszy widzieli ją wolną. Ale dane było tylko pierwszej kompanji piątego pułku wkroczyć uroczyście do miasta, które dotychczas nie widziało jeszcze błękitnych hufców a dwa dni temu, w poniedziałek Wielkanocny, przyjmowało triumfalnie jenerała Hallera z jego sztabem.

Natomiast reszta pułku, zatrzymawszy się krótko na dworcu Gdańskim, zostawiło za sobą Warszawę i podążyło w stronę Modlina, który był ostatecznym celem podróży.

Sławna twierdza modlińska przynosiła zaszczyt tym którzy mieli kwaterować w jej potężnych murach. Pamiętała ona wielkich wodzów i wielkie kampanje, niezapomniała o księciu Józefie i o generałach z roku 1831, którzy jej bronili. Więc też z dumą wkraczali błękitni żołnierze przez olbrzymią Bramę Ostrołęcką w niezdobytą warownię, nad którą teraz powiewała chorągiew białoczerwona.

I kiedy patrzyli na tą chorągiew nad starą twierdzą pojęli nagle treść tego cudu nad cudami: wolności i potęgi polskiej. Bo dotychczas, tęskniąc i marząc tam daleko, na obczyźnie, znali tylko tę Polskę wyśnioną,

widzianą oczyma rozgorączkowanej wyobraźni, karmionej upajającym nektarem poezji Wielkich Romantyków. A oto teraz ten polski sztandar nad murami potężnej fortecy, o które nieraz rozbijały się olbrzymie armie, uosabiał im Ojczyznę żywą, silną i groźną; już nie żałobną męczennicę, ale mocarkę, upominającą się o sprawiedliwość mieczem, nie własną krwią i łzami.

— — — — — — — — — — — —

Tak przybyły do Ojczyzny błękitne zastępy w ową cudną wiosnę 1919, gdy granice Polski utrwalały się od Niemna po Zbrucz. I kiedy, niby modra rzeka, spłynęły w nizinę lechicką, rwały ku niej i inne strumienie z najdalszych krain: wrócili już Dowborczycy, ale oczekiwano jeszcze żołnierzy murmańskich i męczeńskiej dywizji syberyjskiej i Żeligowczyków. Ale wszystkie rzeki i potoki wraz z tymi, co były już w kraju, miały utworzyć wielkie morze, niezwyciężony żywioł, łamiący najstraszniejsze wrogie moce: Armię Polską.

Jeszcze jednak nie była pora na złożenie miecza. Dymił i buchał ogniem-wulkan lwowski, krawiła Ziemia Czerwińska. Pośpieszyły więc tam błękitne żołnierzyki, zmiażdżyły watahy hajdamackie i oswobodziły Małopolskę.

A kiedy nadciągnęła nowa, czarna chmura, kiedy potop ze Wschodu miał zalać Polskę i Europę, Armia błękitna, stopiona już ze swą szarą siostrzycą w jedną potężną całość, wzięła udział w cudzie Wisły i cudzie mocy Narodu.

I tym bohaterskim akordem zakończyła swą wojenną epopeję składając Ojczyźnie w ofierze gorące, obywatelskie serce żołnierza polskiego.

Dr. KOZŁOWSKI ZYGMUNT, Kapitan-lekarz.

Szlakiem błękitnego munduru

(wspomnienie)

Za dwa dni odjazd do Kraju! Wiadomość ta błyskawicą obiegła oddziały rozlokowane w St. Toin. Żołnierze z niebywałą energią zaczęli przeglądać swoje plecaki, czyścić menażki, cerować co kto miał, rzeczy zaś wymagające wymiany na nowe, szły do otyłego sierżanta, który lakonicznie z fajką w zębach nie szczędził soczystych epitetów pod adresem tych, którzy zbyt prędko podniszczyli niedawno wydane mundury.

Przed samym wyjazdem przegląd przez dowódców oddziałów wypadł bez zarzutu. Chłopcy wyczyszczeni, wymyci, wygoleni z postawą godną gwardzistów, wymaszerowali do najbliższej stacji, żegnani przez ludność wioski, a nawet w bardzo licznych wypadkach w oknach można było widzieć zapłakane twarzyczki tych młodych francuzeczek, którym naprawdę przyjaźń polsko-francuska leżała na sercu. Odważniejsze i nie obawiające się złośliwych języków, idąc bokiem szosy towarzyszyły swoim ulubieńcom, ba najodważniejsze chciały nawet koniecznie jechać z nami do Kraju.

Przejazd pociągiem upłynął na budowaniu tysięcy planów i szkicowaniu w wyobraźni widoków spotkania z najbliższymi oraz chęci jaknajszybciej błysnąć błękitnym mundurem oraz zaimponować francuzczyzną w wielu wypadkach tak fatalnie łamaną, że uszy rodowitego francuza naprawdę więdły. Niezliczona ilość dowcipów, żartów i piosenek żołnierskich towarzyszyło nam w podróży. Wszystko to jednak zaczęło milknąć, by zmienić się w naprawdę poważny i majestatyczny nastrój z chwilą wjazdu na Polską Ziemię.

Jedni wracali do Ukochanego Kraju z uśmiechem na twarzy, inni w pełnem skupieniu, inni płakali, byli tacy co rzucali się sobie na szyję, całując jeden drugiego, śmiejąc się, bezwiednie roniąc łzy szczęścia i radości. Chwila bez nikogo nie nakazywana, przez żadne władze nie planowana została przez samych żołnierzy z takim pietyzmem uhonorowana, że żaden rozkaz i żadne przygotowania tego zrobić nie byłyby w stanie.

Przejazd przez stacje i miasta polskie był jednym pasmem radosnych spotkań i powitań. Ci, których po drodze nie spotykali swoi najbliżsi, już z drogi dawali znać kiedy ich mają oczekiwać w domu. Lecz jak to zwykle bywa, nigdy w wojsku żołnierz nic nie może sobie planować.

Po całym pociągu zaczęły chodzić szepty: »do Warszaw nie pojedziemy, z Krakowa pchną nas do Zamościa i Hrubieszowa«. Nie jeden zaklął siarczyście, boć już, już prawie że widział swoich, ale trudno chciał, czy nie chciał, i tak go tam zawiozą gdzie będzie potrzeba.

Po pewnej konsternacji wrócił dobry humor, a szczególniej »amerykanie« mieli dużą sensację, widząc naszych pejsatych i wychałaconych żydów w ich charakterystycznych czapkach.

Dojeżdżając do Zamościa, a jechaliśmy prawdziwie żółwim krokiem, stało nas kilku w oknie wagonu obserwując dość monotonny krajobraz. Widzimy w oknie wagonu dwóch brodatych w chałatach żydków pędzących i popychających opierającego się a nabytego na rzeź cielaka. Naraz oczom nie wierzymy, żydzi puszczają cielaka i kłusem wskakują po szyję do wody do stawu.

Widok ten był tak pocieszny a żydzi pędzący kłusem do wody tak śmieszni, że cały pociąg ryczał ze śmiechu.

Dociekaliśmy przyczyny tego strachu żydków. Okazuje się, że w sąsiednim wagonie jeden z żołnierzy czyścił karabin i miał akurat skierowaną w stronę żydów lufę karabinu co tak ich przeraziło, że nawet nie powstrzymało do wskoczenia w kwietniu do zimnej wody. Przyjazd do Hrubieszowa był jedną wielką manifestacją na cześć polskiego żołnierza przyjeżdżającego z za granic Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Miejscowy Komitet Pań tak szczerze, serdecznie i umiejętnie potrafił zaopiekować się żołnierzami i oficerami, że pozostawił dużo miłych i niezapomnianych wspomnień. Po trzech dniach tej sielanki i wypoczynku krótki rozkaz wymarszu w stronę byłej granicy austriackiej.

Po dosyć forsownym marszu pod wieczór dnia następnego podeszliśmy pod miasteczko Uhrynów.

Obsadzone przez Ukraińców, którzy nie widząc silnego oporu ze strony Polaków mieli zamiar wejść w granice byłej Kongresówki. Pod wieczór zajęliśmy małą wioszczynę naprzeciwko Uhrynowa, miasteczka położonego na wzgórzu o dużej cerkwi ukraińskiej. Poszczególne strzały i kule świszczące jak osy nie robiły zbytniego wrażenia na naszych zuchach.

Na drugi dzień o świcie miał się rozpocząć po przygotowaniu artyleryjskim atak na Uhrynów.

Z chwilą nastania ciemności z rozkazem zachowania jak największej ciszy, wyruszyli żołnierze pod dowództwem naszych oficerów (francuzi pozostali przy dowództwie batalionów) na zajęcie pozycji i okopanie się. Stałem na najdalej wysuniętym krańcu wsi i obserwowałem naszych zuchów, życząc im w duchu odniesienia zwycięstwa, choć to było pewne, chodziło tylko o to by jak najmniej zginęło i by atak był przeprowadzony z brawurą, tak jak oni chcieli to zrobić, boć to był pierwszy występ błękitnych rycerzy na Polskiej Ziemi.

Oczekiwanie do godziny 2-ej nad ranem wydało się dowództwu sztabu batalionu całym wiekiem.

O godz. 2-ej punktualnie ogień przygotowawczy artylerji i strzały karabinów zwykłych i maszynowych. Po 2 godzinach wiadomość »nasi już są pod samym miastem, do miasta jednak jeszcze nie mogą wkroczyć gdyż jest już widno, ukraińcy są na wzgórzu i mają dobrze zamaskowane karabiny maszynowe, na cerkwi zaś ulokowali karabiny maszynowe i mogli by naszych wystrzelać jak kury«. Wiadomości te spowodowały wykurzenie przez artylerję karabinów maszynowych z cerkwi i karabinów ze wzgórza i nasi weszli po południu do Uhrynowa, po zajadłej walce z ustępującymi Ukraińcami, którym pomagały kobiety, starcy i dzieci. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że zabito nam jednego z najlepszych i najmilszych kolegów por. Gabrysia dobrego oficera i kochanego przez podwładnych dowódcę. Cała radość i cała duma z odniesionego zwycięstwa zostały przysłonięte całunem żałoby i smutku po tym, z którym przed paru godzinami śpiewaliśmy jeszcze »Jak to na wojence ładnie«.

Zdobycie Uhrynowa otworzyło nam drogę do oskrzydlającego marszu na obronę Lwowa. Poszczególne utarczki przednich naszych patroli z wycofującymi się w zawrotnym tępie tylnemi strażami ukraińców nie przedstawiają nic ciekawego. Na większy opór natrafiamy pod Sokalem, gdzie natrafiamy w podobną sytuację jak pod Uhrynowem. Z wysoko położonego nad brzegiem rzeki Sokala, przyjmują nas gęstym ogniem Ukraińcy. Dwudniowy pobyt pod Sokolem po oskrzydlającym ruchu naszych oddziałów pozwala nam bez nielicznych strat wkroczyć do miasta. Wśród żołnierzy rozeszła się pogłoska, że Ukraińcy uciekając zostawili cały szpital. Choć zdobycia większej ilości narzędzi i urządzeń sanitarnych powoduje, że nie czekając na reperacje zburzonego mostu, wraz z plutonowym moich kochanych »łapiduchów«, skacząc po deskach przęseł mostu, wkraczamy do opuszczonego Sokola. Na ulicach pustki i grobowa cisza. Kilku odważniejszych żydków wita nas z prawdziwą radością. Biegniemy do miejskiego szpitala, gdzie zamiast oczekiwanych skarbów, zastajemy zapłakane siostry szpitalne i chorych i rannych żołnierzy legjonistów, których nie zdążyli wywieźć Ukraińcy. Okazuje się, że Ukraińcy nie tylko, że nic nie zostawili, lecz na odchodnem ograbili cały szpital.

Trugno opisać radość pozostawionych nam legionistów. Jeden z nich patrząc na niespotykany dotychczas nasz mundur spytał po francusku: »a gdzie są polacy?« Na odpowiedź, że myśmy polacy, rozpłakał się do opiekującej się nim i siedzącej przy łóżku młodej, nawiasem mówiąc b. przystojnej osoby, i zawołał: tak pięknie i czysto powinni wyglądać żołnierze polskiej armii. Niech żyje Polska! I ucałowaliśmy się serdecznie, mając łzy szczęścia w oczach. A kobieta w bek.

Po wyjściu na ulicę zauważyłem już kwatermistrzów szukających gdzie rozlokować kompanię. Tabory miały przybyć po naprawie mostu. Poszedłem i ja szukać coś dla swojego punktu opatrunkowego.

Na ulicy zaczepia nas jakiś elegancki pan i pyta czy nie jesteśmy głodni. Gdzie tu o głodzie myśleć w takiej chwili. Z rozmowy dowiadujemy się, że jest to obywatel ziemski p. R. z pod Uhrynowa, którego wywieźli Ukraińcy jako zakładnika i że takich jak on jest przeszło 60 osób, którzy oczekiwali nie będąc pewni życia, na to wyzwolenie przez wojska polskie. Musieliśmy pójść do mieszkania uradowanego zakładnika, gdzie przedstawił nas żonie i zaprosił na kolację urządzoną przez wszystkich zakładników na cześć naszego wkroczenia do Sokala. Gdzie te polskie panie uczyły się takiego zmysłu organizacyjnego, skąd wzięło się tyle przebogatej zastawy, takich przednich trunków, tyle wspaniałego jadła i tak wyszukanych deserów, od dość dawna nie mogłem zrozumieć. Ale już wiem! polskie matrony, żony i panie potrafią z niczego cuda robić. Toastom, życzeniom i »z dubeltówki« końca nie było, jako że trunki przednie były. Kiedy poszedłem spać, jak długo spałem i dlaczego znalazłem się w adamaszkach i przedziwnie białej pościeli niech będzie pokryte mrokiem tajemnicą.

Wiem tylko tyle, że na drugi dzień obudziłem się koło południa (bez bólu głowy!) a nazajutrz opuszczaliśmy Sokal obrzucani kwiatami żegnani uśmiechami i życzeniami »do miłego zobaczenia we Lwowie«. Dalszy nasz marsz pod Lwów był tylko oskrzydlaniem Ukraińców, których właściwie oskrzydlać nie trzeba było, gdyż całe te bandy gdzieś się rozpierzchły a może inne oddziały naszej arm i rozpędziły je. Po kilku dniach marszu dotarliśmy do Lwowa. Pierwszem uczuciem radości i szczęścia z oswobodzenia tego cudnego miasta zostały obdarzone oddziały, które już przed nami przybyły a które w czołowem idąc pochodzie, wcześniej do niego wkroczyły. Na nas zaś spadły potoki kwiatów i urok uśmiechów i wdzięku pięknych Lwowianek.

Urokowi temu nie oparłem się również i ja, i jedną z »Orlątek« uprowadziłem... na kobierzec ślubny.

LEON SZYMAŃSKI Bajończyk

Ze wspomnień Bajończyka

(część trzecia i ostatnia)

Budzę się bez koszuli, już żelazo wyjęte, parę gumowych drenarzy do odpływu materii, rękę i bok owijają i odnoszą nago pod drugą szopę. Zmęczony do nieopisania zasypiam obok murzyna, który się nie mógł ruszać. W nocy się budzę, dreszcze mnie przejmują i mam wielkie pragnienie. Proszę grzecznie murzyna, by mi choć część derki pożyczył a ten o niczym słyszeć nie chce. Zaczynam ściągać z niego derkę, on w krzyk. Nie było innej rady, gdyż nosze leżały tuż jedne obok drugich, jak wsunąć się do murzyna, co też uczyniłem. Pragnienie jednak nie daje nam spokoju. Wstaję więc zabieram murzyna i swoją manierkę (bidon) i gonię szukać studni we wsi o godz 4 rano, napiłem się dobrze i przyniosłem koledze murzynowi obie manierki napełnione. Śpimy razem. Rano przynieśli zupy. Równocześnie autami i zwykłymi wozami na 2-ch kołach od nawozu wywożą rannych do stacji 11 klm. odległej. Dostaje się i ja na ten wóz przeklęty.

Każdy obrót koła płaciłem dużym upływem krwi Na stacji zabrakło pociągów sanitarnych, więc pakowano nas do zwykłych pociągów Położono mię do III kl., w nogach dla wykorzystania miejsca siedział ranny w twarz murzyn. Pociąg był przepełniony do najwyższego stopnia tak, iż dosłownie brakowało powietrza. Uprosiłem murzyna, by okno otworzył. Po drodze do Paryża zamiast mlekiem częstowano nas przez pomyłkę serem, gdyż nie był to pociąg sanitarny. W Paryżu przegląd rannych. Ciężko ranni zostają, a lekko ranni jadą na południe... Ponieważ miałem rękę opuchniętą zrobiono mi operację na stacji i przewieziono mię do szpitala w Paryżu. Tego samego dnia około 10-ej wieczorem operowano mi rękę i wyjęto odłamki z granatu.

Dnia następnego odwiedził mię ś. p. przezacny hr Władysław Zamoyski, który mię ucałował jak swego syna i zostawił mi na pamiątkę swój różaniec. Niedługo potym przypięto mi krzyż wojny i nagrodzono cytacją w rozkazie dywizji Nr. 28 według następ. tekstu »Legionnaire brave et ardont, toujours volontaire pour les missions perilleuses s'est fait remarquer à l'assaut des Ouvrages blanc le 9 mai 1915. Grievement blesse«.

(—) Le General Degoutte
commandant de la Division
Le Colonal Ment

Później w Polsce otrzymałem Virtuti Militari i Krzyż Walecznych Po kilku latach rząd Francuski przysłał mi Merite Agricole za pracę organizacyjną.

W szpitalu Buffon (było to dawne liceum) na moje nieszczęście musiałem leżeć przeszło 8 miesięcy, byłem 6 razy operowany z usypianiem, które najwięcej mój organizm zniszczyło. W międzyczasie miałem takie zdarzenie: Bardzo często nazywano Polaków Rosjaninami i naszem zadaniem na każdym kroku było podkreślanie narodowości polskiej. Pewnego dnia generał sanitarny odbywał przegląd szpitala. Szef szpitala pułkownik oprowadzał generała, który się nieomal przy każdym rannym zatrzymywał. Gdy przyszła na mnie kolej, tak pułkownik tłumaczy generałowi: że mam cały l'humerus (górna część ręki) strzaskany, a ja zrozumiałem, że mię nazywa russe-rosjanin, wściekłość mię ogarnęła i co prędzej salutuję leżąco lewą ręką i oznajmiam: »Nie, mój gene-

rale! jestem rodowity Polak a nie żaden rosianin». Cała sala wybuchła śmiechem i tak się skompromitowałem. Zaczęto mię zaraz pytać o powód tego protestu i od tego czasu dokuczano mi wprawdzie, lecz każdy się tam dowiedział, że oprócz Rosjan i Polacy istnieją. Naogół w owym czasie obrona naszego stanowiska politycznego była niesłychanie trudną. Wypowiedzianemi osobistemi wspomnieniami nie chciałbym nikogo obrazić tylko zaznaczyć, że istniało bardzo dużo osób wielce zasłużonych na niwie narodowej, którzy jako szeregowcy walczyli o niepodległość Polski. Gdyby nie pierwsze krwią okupione zaczątki Bajończyków może sprawa Komitetu Narodowego i Armia Polska we Francji nie miałaby takiego powodzenia.

ANTONI KUCZYŃSKI.

My nie Madziary!

(Wspomnienie)

Było to na froncie włoskim.

W dniu 29 września 1917 roku, od godziny 6-ej rano artyleria włoska huraganowym ogniem bębniła po naszych okopach aż miło.

Nawiasem muszę dodać, że nie były to prawdziwe okopy — a tylko takie sobie prowizoryczne doły z trudem wygrzebane w skalistej górze St. Gabriel. To też każdy z nas krył się jak mógł, ażeby uchronić swoją cielesną powłokę przed nieprzyjemnym zetknięciem nietylko z włoskim granatem, ale także z odłamkami min i kamieni, które nas stale od dwóch godzin łaskotały po stalowych hełmach.

To krycie się niewiele nam pomagało. Co chwilę któryś z naszych kolegów przenosił się do lepszego świata...

Ja i mój kolega J., zajmowaliśmy dziurę wyrytą w pobliżu samotnej sosny. W pewnej chwili kolega mówi:

— No, Antoś! Musimy się pożegnać, bo zdaje się, że z tego piekła już nie wyjdziemy cało.

Nic nie odrzekłem. Poczułem się jakoś nieswojo. Myśli moje zaczęły krążyć około domu, rodziców, narzeczonej...

Pomyślałem sobie, że mając zaledwie lat 19, będę musiał zginąć marnie za obcą sprawę — za znienawidzoną Austrię.

Tok moich myśli przerwał nagle jakiś krzyk. Wyjrzałem.

Spostrzegłem, że ogień huraganowy Włosi przesunęli na nasze rezerwy. A równocześnie ich piechota zaczęła się wdzierać na nasze pozycje.

O obronie nie było mowy. Większa część kolegów albo już nie żyła, albo też nie była zdolną do walki.

Trzeba było kapitulować. Rzekłem do kolegi:

— Michaś! Rzucaj karabin i ręce do góry. Jesteśmy w niewoli.

Włosi, widząc nas bez broni na migi wskazali drogę do swoich pozycyj. Pobiegliśmy...

I teraz stała się rzecz nieoczekiwana. Przekonałem się o bezhołowiu austriackiego dowództwa.

Jak w czasie huraganowego ognia włoskiego, austriacka artyleria milczała, tak teraz otworzyła ogień na swoich żołnierzy, znajdujących się w niewoli.

Nim przedostaliśmy się do włoskich rezerw, by schronić się przed »pożegnalnym« ogniem k. u. k. artylerii, po drodze zostawiliśmy jeszcze kilkunastu kolegów zabitych.

Padli z ręki dzielnych artylerzystów austriackich...

Włosi, znajdujący się w linii rezerwowej, przyjęli nas bardzo kulturalnie. Powiedziałbym, że przyjaźnie.

Zebrało się nas coś kilkudziesięciu jeńców, przeważnie Polaków i Rusinów

Zmuszeni byliśmy pozostać w okopach włoskich aż do zmroku, gdyż austriacka artyleria, jak najęta, kropiła ogniem zaporowym, nie czyniąc nam na szczęście prawie żadnych szkód.

Wprawdzie jeden większy granat rąbnął w sam środek skupionej wiary, ale, na chwałę wytwórni granatów trzeba zapisać, że nie... eksplodował.

Siedzieliśmy tak już kilka godzin, zgłodniali, rozglądając się za jakimś pożywieniem. Ale nie było na to żadnych widoków.

Staraliśmy się na temat chleba rozmówić z Włochami. Ale żaden z nas nie wiedział, jak się chleb po włosku nazywa.

Wreszcie dwaj Włosi, prawdopodobnie oficerowie, z charakterystyczną mimiką, zwracają się do nas:

— Volete mangiare? (Chcecie jeść)

— Madziary? Nie, my nie Madziary — kręcimy głowami. — My Polacy! Polonia!

Włosi, jakoś zdziwieni, kiwają głowami. Wreszcie odchodzą, by po chwili wrócić z bochenkami chleba, na którego widok oczy nam się zaświeciły. Synowie Italii pokazując na chleb pytają:

— Volette mangiore? Pane?

— Madziary to my nie jesteśmy — ale chleba, ham, ham, to »ja« — kiwamy głowami potakująco.

Pierwsze porozumienie nastąpiło. Pokrzepieni na żołądku i na duchu, doczekaliśmy zmroku, by w otoczeniu straży, równiutką szosą, oświetloną srebrzystą poświatą księżyca ruszyć wgłąb pięknej Italji...

A k. u. k. artyleria i wtedy o nas nie zapomniała. Posłała wślad za nami jeszcze dwa »strzemienne« granaty...

W wolnej Italii poczęliśmy się czuć wolni i od 1918 roku byliśmy już żołnierzami Armii Polskiej we Włoszech zorganizowanymi w kompanję, bataliony i pułki by wrócić poprzez Francję do budzącej się do Wolności Niepodległej Polski.

KOMUNIKAT

Prezydium Zarządu Głównego Stowarzyszenia komunikuje niniejszym, że Redaktor Błękitnego Weterana mjr. rez. Giżycki Wacław na własną prośbę został zwolniony z tej funkcji. Prezydium Zarządu Głównego poczuwa się do miłego obowiązku złożyć Mu na tem miejscu serdeczne podziękowanie za Jego pracę dla wspólnej i drogiej nam wszystkim „Błękitnej Przeszłości". Redakcję objął obecnie major w st. sp. Piskozub Paweł.

PAWEŁ TOLKARZ

Z Salonik do Francji

(wspomnienie)

W kwietniowy dzień 1918 r., przez portowe miasto Saloniki posuwała się niewielka grupka ludzi, o wyglądzie wojskowym, lecz z obserwujących, nikt nie mógł skonstatować, co to są za wojacy i do jakiego państwa należą.

Byli to patrioci-Polacy, w różnorodnych uniformach wojskowych, a także w ubraniach cywilnych. Niektórzy manifestowali swe pochodzenie znakami białego orła, dającego znać, że Polska nie zginęła i zmartwychwstać musi — pomimo czasowego skreślenia Jej z mapy państw samodzielnych. Grupka posuwała się w kierunku portu, gdzie flota państw sprzymierzonych grupowała swe okręty, tak typu wojennego, jak i handlowo transportowego.

Stojący w porcie olbrzym morski starał się od czasu do czasu wypuścić jak najwięcej ze swej paszczy, czerwono brunatnego dymu w górę, tworząc chmury dla własnego zasłonienia się od floty po-[illegible]

Była to wojna światowa, która zwiastowała uciemiężonym narodom zmartwychwstanie przez walkę własnych sił i patriotyzmu.

Należałem wówczas do tej grupki. Kiedy wkroczyliśmy na okręt pomimo swej nabytej wiedzy i hartu żołnierskiego na lądzie na wodzie poczułem się nowicjuszem.

Okręt nasz stał nie ruszając się z miejsca kilka dni i nie wolno go nam było opuścić ani na chwilę. Nikt nie wiedział kiedy ma odpłynąć; prawdopodobnie mógł nie wiedzieć nawet sam kapitan, a będąc w pogotowiu w każdej chwili, oczekiwał na ściśle tajny rozkaz, który miał nadejść z dowództwa admiralicji.

Przydzielono nam przedziały w których znajdowały się żelazne łóżka, jakie takie sienniki z zagłówkami, oraz korki ratownicze. Pouczono nas do czego służą i jak ich używać w razie potrzeby. Obejrzałem dokładnie swój ekwipunek ratowniczy, przymocowałem sznury, wszystko okazało się w porządku: więc złożyłem je w głowie łóżka swego, by na wypadek potrzeby było pod ręką.

Okręt nasz jednak stał na miejscu, my zaś nudziliśmy się od próżniactwa. Pewnego dnia pod wieczór promienie słoneczne wskazywały, że niebawem zostaną pochłonięte zmrokiem nadsuwającej się nocy, okręt nasz dał sygnał, że opuszcza port Salonicki.

Spojrzałem jeszcze raz na miasto i mimowoli uderzyła mnie myśl, że może patrzę na ten ogród ostatni raz a przedemną stoją przepiękne miasta Francji, za które jadę położyć swoje życie w obronie wolności.

Po przewlekłem gwizdaniu syreny, okręt nasz powoli zaczął opuszczać port salonicki i niebawem znaleźliśmy się na pełni morza Śródziemnego.

Zmrok zaledwie zapadł i nie było jeszcze późno, ale my byliśmy już rozebrani i leżeliśmy w łóżkach. Wtem alarmujący gwizd syreny podjął nas na nogi z pościeli. Nie mogłem zorjentować się, co właściwie jest, wiedziałem tylko, że alarmujący gwizd nie może nic dobrego zwiastować.

Służba okrętowa, jak zauważyłem, była spokojna, jedynie pasażerowie szamotali się w panicznym nieładzie.

Ktoś z kolegów naszej grupy krzyknął: Niech żyje Polska! Jednym susem znalazłem się na pomoście okrętu. Rzucając spojrzenia na wszystkie strony ujrzałem tłoczących się pasażerów, lecz skonstatowałem, że sytuacja nie jest groźną, a jest jedynie alarmem ćwiczebnym. Zauważyłem, że zapomniałem zabrać ekwipunek ratowniczy, t. j. korki które najspokojniej spoczywały w głowie mego łóżka.

Alarm był skończony, wróciliśmy na swoje miejsca, lecz zasnąć przez całą noc nie mogliśmy, wyśmiewając jeden drugiego z zuchwałości żołnierskiej.

Towarzyszyła nam na tym okręcie kompania murzynów zdążająca do Algieru.

Na drugi dzień obserwowałem ich dłuższy czas gdy kapral dawał zarządzenia co do porządków dziennych i wydawania prowiantów. W porze obiadowej przyniesiono im z kuchni kilka baków gęstego ryżu i porcji mięs do których to prowiantów na pokładzie okrętowym zasiadła cała grupa; każdy miał ze sobą menażkę z deklem, łyżek i widelców nie było. Jeden z nich ręką podzielił ryż i mięso, poczem każdy z nich był zajęty konsumowaniem

Ćwiczebne alarmy powtarzały się kilkakrotnie, aż zdążyliśmy przybyć do Algieru, lecz więcej nie wywoływały w nas panicznego strachu. Podróż z Salonik do Algieru trwała około dni dziewięciu. Przybycie nasze odbyło się w porze południowej. Pomimo tak wczesnej pory, jak miesiąc kwiecień, zieleniła się trawa a także nadbrzeżne palmy zdobiące ulice miasta Algieru.

W porcie uwijali się arabscy handlarze sprzedając pierożki pomarańcze, czekoladę i t. p.

Na pierwszy rzut oka nie mogłem rozróżnić mężczyzn od kobiet, bowiem byli w jednakowych narzutkach. Później dało się odróżnić płeć męzką od żeńskiej po twarzy.

Okręt nasz stał około 6-ciu godzin i o zachodzie ruszył w dalszą podróż w kierunku Marsylii

Z chwilą odbicia od brzegu naszego okrętu zauważyłem, iż podróż nasza na tej przestrzeni morskiej jest więcej niebezpieczna, niż przebyte już podróże między Salonikami a Algierem, gdyż przydzielono naszemu okrętowi silną eskortę morską, składającą się z różnych typów okrętów bojowych.

O zmroku, gdy byliśmy już na pełnem morzu i przyszykowani do snu, zahuczał wystrzał armatni, a za nim powtórzyła się cała kanonada z okalającej eskorty.

Okręt nasz biorący dotychczasową linię jazdy prostą, nagle skręcił w lewo, ratując się od nadpływającej torpedy morskiej, puszczonej przez łódź podwodną niemiecką

Sytuacja była groźna, lecz na okręcie panował spokój i wzorowy porządek. Zawdzięczając kapitanowi okrętu który swoją wiedzą i doświadczeniem wilka morskiego potrafił przygotować na wszelki wypadek swoich pasażerów przez kilkakrotne przerobienie ćwiczebnych alarmów.

Łódź podwodna niemiecka skryła się pod wodą, torpeda zaś minęła swoje przeznaczenie i kanonada ucichła.

Posuwaliśmy się naprzód w kierunku naszego celu przez kilka dni, aż nareszcie zauważyliśmy flotę powietrzną idącą nam na spotkanie. Były to hydroplany francuskie, zwiastujące nam ląd po przebytej uciążliwej podróży morskiej.

Za kilka godzin zauważyłem gołem okiem cień miasta Marsylii, a także różnorodne typy okrętów w porcie marsylijskim.

Po wylądowaniu grupka nasza, tak samo jak i w Salonikach, pomaszerowała ulicą pięknego miasta Marsylii do koszar, gdzie poczułem się żołnierzem, żołnierzem hartu i wiedzy już nabytej na lądzie;

Niepowszedni wyczyn

Otrzymaliśmy od Zarządu Placówki naszego Stowarzyszenia w Sosnowcu wiadomość o niezwykłym wyczynie członka tej placówki kol. **Adama Chrobota**, który wyruszył pieszo z Czeladzi do Obozowiska Polskich Żołnierzy z Ameryki w Europie (Pomorze, 15 klm. od Grudziądza) i powrócił pieszo do Krakowa, składając ziemię z Obozowiska w Grupie na kopcu Marszałka Piłsudskiego na Sowińcu w dniu 23 października 1936 r.

Kolega A. Chrobot przebył pieszo 1165 klm., co stwierdzonem zostało zaświadczeniami urzędów gmin i miast przez które przechodził posiada on również dowód złożenia ziemi na kopcu Marszałka Józefa Piłsudskiego na Sowińcu.

Obecnie kol A. Chrobot jest chory, niezdolny do pracy, pozbawiony środków do życia i obarczony ponadto rodziną.

Zarząd Placówki w Sosnowcu będzie niewątpliwie chętnie pośredniczył w pomocy, którą dawni towarzysze broni zechcą okazać swemu koledze

ANTONI KUCZYŃSKI

Złowrogi sen

(wspomnienie)

W miesiącu czerwcu 1919 roku nasz III batalion 44 p. p. s. k. miał za zadanie zaatakować bolszewików w kierunku na Równe.

Ja i mój kolega kapral Kasprzak (w cywilu także drukarz) pełniliśmy służbę w t. zw. małym sztabie baonu. Komendantem naszym był kapitan Ketling.

W przededniu ataku, baon rozłożył się na odpoczynek w jednej z wiosek wołyńskich. Znużeni marszem, korzystaliśmy z dobrodziejstw odpoczynku w całej pełni.

I wówczas to miało miejsce zdarzenie, które pozostało mi w pamięci na całe życie.

Kapral Kasprzak zmęczony, usadowił się na pniaku od rąbania drzewa, stojącego na podwórzu jednej z chałup wiejskich, i wkrótce zasnął. Ja półleżąc obok kolegi drzemałem. Sen Kasprzaka trwał nie całą godzinę. Nagle zauważyłem jak mój kolega raptownie się obudził i rzekł wystraszony:

— O, Boże! Co za sen!

— Co ci się stało? Czemuś taki blady? — zapytałem.

— Zdaje się, że wkrótce zostanę zabity — odrzekł.

— Nie gadaj głupstw. Z czego to wnioskujesz?

— Śniło mi się — zaczął — że przyszedł do mnie mój katecheta z czasów szkolnych, ubrany jak do mszy św. i wyciągnął nademną ręce jakby do błogosławieństwa.

— No, i co z tego?

— To zły znak. Obawiam się, że do drugiego południa nie dożyję.

Muszę nadmienić tutaj, że działo się to w samo południe pięknego, letniego dnia.

Widząc przygnębienie przyjaciela, żal mi go się zrobiło, więc zacząłem go pocieszać jak mogłem.

— Słuchaj bracie, sen mara, Bóg wiara. Nie przywiązuj żadnego znaczenia do tego, co ci się śniło. To nie ma żadnego sensu.

— Ty tak mówisz, a ja wiem swoje. Ha, niech się dzieje wola Boża.

Na tym urwała się nasza rozmowa na powyższy temat.

Gdyśmy w nocy wyruszyli w stronę Równego, bolszewicy przezornie unikali z nami bliższego kontaktu. Aż wreszcie po kilkugodzinnym marszu zetknęliśmy się z wrogiem. Przywitał nas niespodziewanie ogniem dwóch karabinów maszynowych, na szczęście nie celnym. Odpłaciliśmy bolszewikom pięknym za nadobne, w rezultacie czego komuniści zwiali zostawiając nam na pamiątkę jeden karabin maszynowy.

Rozpoczął się atak. Gnaliśmy Wańków przed sobą aż pod samo Równe. Tam nasz atak utknął z powodu wzrostu sił bolszewickich przybyłych z Równego.

I tu wraża kula dosięgła przyjaciela.

Leżeliśmy z Kasprzakiem obok siebie w tyralierce przy szosie, gdy nagle jakaś zabłąkana kula trafiła w kask Kasprzaka, przebiła go i utkwiła w głowie przyjaciela.

Kasprzak bez słowa jęku i skargi legł śmiercią bohatera na żyznej ziemi Wołynia. Żal ścisnął nam serca, a nadeszły nasz dowódca kapitan Ketling rzekł wzruszonym głosem:

— Szkoda dzielnego chłopca.

Tak się sprawdził złowrogi sen ś. p. kaprala Kasprzaka.

Nadesłane fotografie



1 kompania 3 pułku strzelców



Ochotnicy z Holandii

Z ŻYCIA STOWARZYSZENIA

Zatwierdzenie nowych zarządów

Prezydium Zarządu Głównego zatwierdziło w miesiącu lutym i marcu 1937 następujące zarządy placówek:

Zarząd Placówki Sosnowiec

1) Prezes — Kozera Stefan
2) Wiceprezes — Stankiewicz
3) Sekretarz — Kasprzak Roch
4) Skarbnik — Rzeszutek Michał
5) Komendant — Romanowski Edward
6) Zastępca — Poks Franciszek
7) „ — Ściborowski Marcin

Komisja Rewizyjna:
1) Przewodniczący — Olkowski Stanisław
2) Członek — Świątek Wincenty
3) „ — Wojtasik Marian

Zarząd Placówki Zbąszyn

1) Prezes — Rybarczyk Ludwik
2) Wiceprezes — Bednarek Feliks
3) Sekretarz — Wojciechowski Jan
4) Zast. Sekret. — Kurasiński Antoni
5) Skarbnik — Bartecki Jan
6) Komendant — Zieliński Marcin
7) Zast. Komend. — Kosmacz Jan

Komisja Rewizyjna:
1) Przewodniczący — Najderek Jan
2) Członek — Gałęski Franciszek
3) „ — Furman Stefan

Zarząd Placówki Trzebina

1) Prezes — Mizera Stanisław
2) Wiceprezes — Świnko Kazimierz
3) Sekretarz — Stolarski Karol
4) Skarbnik — Stefański Michał
5) Członek Zarz. — Balcerzak Damian
6) „ „ — Grochal Józef
7) „ „ — Gancarczyk Andrzej

Komisja Rewizyjna:
1) Przewodniczący — Ligner Franciszek
2) Członek — Woch Franciszek
3) „ — Giemza Franciszek
4) Zastępca członka — Knawa Franciszek
5) „ „ — Warchoł Wincenty

Zarząd Placówki Humniska

1) Prezes — Bietka Michał
2) Wiceprezes — Dudek Feliks
3) Sekretarz — Augustyn Franciszek
4) Skarbnik — Rachwał Antoni

Komisja Rewizyjna:
1) Przewodniczący — Śnierek Ignacy
2) Członek — Krupa Michał
3) „ — Rachwał Antoni
4) Zastępca — Florek Wojciech

Protokół z Zebrania Głównej Komisji Rewizyjnej

W dniu 7 marca r. b. o godz. 10-ej rano, w lokalu Zarządu Głównego Stowarzyszenia Weteranów b. Armii Polskiej we Francji odbyło się Zebranie Komisji Rewizyjnej, która dokładnie zbadała stan rachunkowości i celowość wydatków, poczynionych przez Zarząd Główny w okresie od dnia 1 września 1936 roku do dnia 1 marca 1937 roku.

Obecni: Dr. Wieniewski Ignacy — Przewodniczący Komisji
Zaworka Walenty — Członek Komisji
Inż. Pańkowski Jerzy — „ „
Kpt. Cybulski Teodor — Zast. Skarbnika
por. Uhma Czesław — Sekretarz Generalny

Po przypomnieniu przez Kol. Przewodniczącego Dr. Wieniewskiego o pełnieniu czynności, wypływających z obowiązków Komisji Rewizyjnej przystąpiono do badania stanu rachunkowości kolejno miesiącami począwszy od września 1936 r. do marca 1937 r. sprawdzając skrupulatnie pozycje księgi buchalteryjnej z odpowiednimi dowodami kasowymi, zgrupowanymi w chronologicznej kolejności dat w segregatorach. Poza badaniem zgodności poszczególnych pozycji kasowych Komisja jednocześnie badała celowość wydatkowanych kwot.

Sprawę kosztów wydawnictwa miesięcznika »Błękitny Weteran« wydzielono jako specjalny rodzaj kosztów do bardzo szczegółowego rozpatrzenia.

Po zbadaniu rachunków z wyżej wymienionego okresu czasu Komisja Rewizyjna w pełnym składzie stwierdziła zgodność dowodów kasowych i zgodność salda z książkami buchalteryjnymi, które w kasie podręcznej wyraża się sumą 11 zł. 74 gr. oraz na P. K. O. w/g ostatniego wyciągu na dzień 1. III. 1937 r. zł 909.09 gr. Nie stwierdzono również żadnych uchybień w dysponowaniu pieniędzmi przez Zarząd Główny.

Następnie Komisja Rewizyjna rozpatrzyła sprawę kosztów wydawnictwa miesięcznika »Błękitny Weteran« stwierdzając, że mimo b. oszczędnej administracji, pismo jest deficytowym.

Istotnej przyczyny tego stanu rzeczy należy szukać w małej ilości prenumeratorów i słabo rozwiniętej akcji ogłoszeniowej.

W związku z powyższym zapadła uchwała następującej treści:

1) Komisja Rewizyjna wzywa Zarząd Główny do przypomnienia Zarządom Placówek i Okręgów o konieczności jak największego poparcia własnego organu prasowego przez odpowiednią propagandę, zmierzającą do tego, aby każdy członek był prenumeratorem zgodnie z uchwałą Walnego Zjazdu.
2) Komisja Rewizyjna doceniając znaczenie pisma i uważając za konieczność utrzymania pisma, poleca Zarządowi Głównemu przeprowadzenie odpowiednich posunięć w celu usprawnienia pracy reklamowej i administracyjnej.

Niezależnie od badania dowodów kasowych i celowości wydatków przedyskutowano poszczególne rachunki, składające się na ogólne zestawienie bilansowe.

Następną czynnością Komisji Rewizyjnej było badanie stanu prac w biurze Zarządu Głównego.

Komisja Rewizyjna z drobiazgową dokładnością zapoznała się z sposobem załatwiania spraw weryfikacyjnych i odznaczeniowych, zdając sobie zupełnie wyraźnie sprawę z samych technicznych trudności jakie napotyka personel biura przy tak wielkim napływie tego rodzaju spraw.

Poddano szczegółowej rewizji księgę inwentarzową i dziennik podawczy, akty Placówek i luźnych członków, kartotekę placówek i Okręgów, ewidencję wpłaconych sum przez placówki i okręgi.

Komisja Rewizyjna stwierdziła normalne funkcjonowanie aparatu administracyjnego w biurze, systematyczność wykonywanej pracy i nie nasuwający żadnych wątpliwości porządek w biurze w odniesieniu do przechowywanych aktów i załatwianych przez biuro spraw.

KAŁUŻA PIOTR (sekretarz placówki)

Sprawozdanie roczne Placówki Katowice

(z Walnego Zebrania w dniu 5.II.1937 r.)

Każda szanująca się organizacja społeczna gromadzi skrzętnie, to wszystko co stanowi jej dorobek, rejestruje nie tylko zwycięstwa ale i klęski, podaje do wiadomości członkom i troskliwie zbiera wszelkie przyczynki z których składa się owoc jej wysiłków, co pozwoli tym łatwiej ustalić plan swego postępowania na przyszłość. Gromadzenie wszelkich danych dotyczących wzrostu organizacji, daje nam bowiem dużo możliwości ich wykorzystania, ujawnia wolę ich wzbogacenia, staje się argumentem, iż organizacja ma pewien plan i zdolna jest do systematyczności.

Obraz dokonanych prac, bodaj nawet najskromniejszy jest zawsze cennym aktem w życiu organizacji. Zamknięcie w pewną całość tych wszystkich danych, których rozproszenia się zwłaszcza w początkach organizacyjnych jest łatwe, jest bardzo pożądane, stwarza pewien grunt na którym można i wolno nam planować dalsze zamierzenia i realizując je ujmować w nowe pozycje.

Zamieszczone poniżej sprawoznanie nie ujmuje dokladnego rodowodu organizacji, ą obejmuje właściwie wykonane prace i kroki stawiane przez nasze Stowarzyszenie w placówce Katowickiej i to na przestrzeni rocznej. Jest to zebranie tego wszystkiego, co mogłoby ujść w niepamięć, co najtrudniej byłoby ująć, gdybyśmy uczynili to o rok później, Ułatwiamy sobie przeto zadanie i na przyszłość.

I. Z działalności Sekretariatu:

Praca w sekretariacie była bardzo żywa. Dosyć wspomnieć, iż w roku sprawozdawczym załatwiono 81 pism do związków nam pokrewnych, władz i instytucji prywatnych, otrzymano 43 pisma, załatwiono tygodniowo po kilkanaście osób w sprawie interwencji u władz o pracę i spraw o charakterze ogólnym,

Placówka posiada na własność 1 sztandar, 1 książkę pamiątkową, 1 protokularz, 1 książka ewidencyna, 1 dziennik podawczy, 1 kilim, 1 szafkę na sztandar i powielacz.

Biuro Sekretariatu mieści się przy ulicy Plebiscytowej Nr. 1, III piętro przy Zarządzie Okręgowym. Czynne było w każdy poniedziałek i czwartek od godz. 15—17-ej. Prace organizacyjne szły głównie w kierunku organizowania członków. Jakkolwiek Zarząd pl. w okresie sprawozdawczym miał uwagę swą zwróconą przede wszystkiem na montowanie całego aparatu związkowego to jednak nie spuszczał z oka zagadnień natury państwowej i społecznej, które stanowić muszą istotną treść pracy naszego Stowarzyszenia. To też, gdy społeczeństwo poruszone zostało dyskusją na temat Gdańska, Zarząd Placówki uznał za konieczne, aby nasza Organizacja wypowiedziała się w tej ważnej sprawie państwowej. Na zebraniu w dniu 7 sierpnia r, ub. licznie obesłanym przez błękitnych, Stowarzyszenie nasze w placówce Katowickiej po wygłoszeuiu referatu na temat zagadnień Gdańska, wyraźnie wskazało na ideologiczną zasadę, którą tak w przyszłości jak i dobie teraźniejszej Weterani kierują się i dają wyraz temu, że popierają w tej sprawie w całej rozciągłości zamierzenia czynników rządowych, postępując tu w myśl wskazań ideowych naszego Marszałka.

Prace programowe nie mogły być wprawdzie ujęte w pewien system. Wykonano raczej to, co życie członków, czy okoliczności przyniosły.

I tak wzięto udział w strzelaniu o Mistrzostwo Okręgu i nagrodę wędrowną p. Prezydenta Miasta Dr. Kocura. W strzelaniu tym uzyskała placówka Katowicka na 18 placówek Okręgu I miejsce zdobywając tym mistrzostwo Okręgu na rok 1936 eraz nagrodę wędrowną p. Prezydenta Miasta po raz pierwszy. Przypuszczać należy, iż z wiosną b. r. członkowie podwoją swe prace w tym kierunku większym zainteresowaniem się Strzelectwem i dorobek ten kilkakrotnie zwiekszą.

Dane o gospodarce finansowej placówki przedstawi nam Kol. Skarbnik we swojem sprawozdaniu wszystkim obecnym na sali, przeto danych tych w mojem sprawozdaniu nie umieściłem.

Stowarzyszenie w placówce Katowickiej odbyło 11 zebrań miesięcznych i 1 zebranie walne. Posiedzeń Zarządu zwołano 5. Liczba członków w placówce po wykreśleniu 19 figurujących tylko w ewidencji i w porównaniu do roku 1935 wzrosła o 14. Więc zatem w placówce Katowickiej jest członków obecnie 145 w tem 10 bezrobotnych, zmarło 4. Dzięki staraniem Zarządu pl. otrzymało 2 członków pracę i wdowa po ś. p. Mikołajczyku. W karcie żałobnej zanotowaliśmy kol. ś. p. Mikołajczyka, Ginzela, Stojeckiego i Lubojańskiego. Dużym czynnikiem propagandowym i antrakcyjnym naszych członków są mundury, które niestety na skutek oczekiwania wyjścia ustawy są bardzo nieliczne. Ogólnie posiadamy 22 mundury. Ukazanie się ustawy zatwierdzenia mundurów jest palącą potrzebą. Zagadnienia oświatowe w formie odczytów i referątów znalazły u członków należyte umiejscowienie. Notuje się tu w tym wypadku ulubiane dla nas tematy:

»Ruchy współczesne w polityce«. Źródła kryzysu i inne wygłaszane przez prelegentów Polskiego Związku Zachodniego na kilku naszych zebraniach.

Placówka organizowała względnie współpracowała we wszystkich takich świętach jak 3-go maja, 11 listopada, 10-lecia urzędowania Wojewody Śląskiego, 18-lecie Powst. Wielkop. w święcie francuskim, w zlocie sztandarów w Częstochowie (26.IV.), w święcie sportowem w Mysłowicach (7.VI.), w poświęceniu sztandarów placówki Siemianowice (21.VI), Świętochłowice (5.VII) i w Knurowie (15.VIII). Z przedstawień teatralnych odbyło się 1 (5.IV.1936 r.) W zjeździe delegatów Okręgu w Katowicach (5.IV.1936 r.) i Krajowym we Lwowie 13 i 14.IX. 1936 r. oraz w gwiazdce i zabawie urządzonej w dniu 6.I. 1937 r. gdzie brać błękitną skromnie podejmowano wieczerzą wigilijną i łamano się opłatkiem a dzieci obdarowano widowiskiem baletu dziecięcego a w końcu łakociami. Bezrobotnych obdarowano wedliną, struclami i zapomogą pieniężną. Zaś starszych zaproszono do tańca przy akopaniamencie doborowej orkiestry Policyjnej.

Dochody placówki są rzeczywiście niewielkie, bo rzadko kiedy wzmocnione subwencją, czy darem, są tylko wprowadzone składkami członków.

Najczęściej spotykanymi w sprawozdaniu przeszkodami pracy w placówce jest brak świetlic, brak współpra-

cowników. Stosunek społeczeństwa z wyjątkiem pewnych grup społecznych uważających nasze Stowarzyszenie jako groźną konkurencją jest nagół zadowalający, a niejednokrotnie b. dobry.

By prace zarówno członków jak i Zarządu pchnąć na lepsze tory poczynić należałoby szereg przygotowań zarówno natury organizacyjnej jak i programowej.

W dziedzinie organizacyjnej należałoby:

1) przygotować ostatecznie regulamin współpracy za Gł. Zarz. Powstańców Śl.
2) poczynić starania około zgobycia dalszych członków,
3) domagać się ustalenia prawidłowego wzoru munduru i prawa noszenia tegoż,
4) użyczenie nam świetlic Zw. Powstańców za opłatą.

W dziedzinie programowej przygotować:

1) zorganizowanie pomocy instrukcyjnej i przeszkolenia ich na przyszłych wychowawców naszej młodzieży.

Przypominam, że Stowarzyszenie nasze, dążąc do harmonijnej współpracy osiągnięcia jak najlepszych wyników na polu poczynań społeczno - państwowych, zainicjowało bliższą współpracę organizacyj ideowych na terenie Śląska. Dzięki tej inicjatywie powstaje międzyzwiązkowa Komisja współpracy ideowej do której wejdą Zw. Powstańców Śl. i Stow. Weteranów b. Armii Polskiej we Francji. Komisja ta przyczyni się w wielu wypadkach do usunięcia wiele niewłaściwości i uprawni szereg poczynań wspomnianych związków.

Nagół idziemy z silną wiarą naprzód!

Dorobek związku jest znaczny, a że osiągneliśmy powyższe wyniki, jest zasługą wszystkich naszych członków, którzy w myśl starych zasad błękitnych żołnierzy nigdy nie liczyli na cudzą pomoc, lecz własnym tylko wysiłkiem dążyli do osiągnięcia celu.

Wierzyć również należy, ża rok przyszły da bardziej bogate sprawozdanie, utwierdzi dobrze zaczęte prace i stawi nasze Stowarzyszenie na czoło organizacji historycznych. Życzyć by sobie tylko należało, by zapał członków nie ostygł, a przyszły zarząd wyszukiwał coraz to nowe podniety, by rozbudował ustalone organizacyjnie treść swej pracy.

Oczekiwać również należy większego niż dotąd poparcia tych wszystkich czynników którym dobro naszej organizacji i młodego pokolenia naszego leży na sercu. Instytucje publiczne, komunalne, państwowe, organizazyjne społeczne, a przede wszystkim nasza stara brać winna zrozumieć, iż jesteśmy organizacją o wyraźnie polskim obliczu o serdecznem a szczerem przywiązaniu do ziemi, zdobytej przez krew i łzy naszych współtowarzyszy broni poległych na polu krwi i chwały, że każdy z nas zdał swój egzamin dojrzałości do szkoły życia obywatelskiego, jaką jest nasza Organizacja Stow. Wet. b. Armii Polskiej we Francji, że na tym pierwszym dorobku chcemy i będziemy mimo już przeżytych wojen i powstań czy to Śląskich i Wielkopolskich budować zawsze wieczną Straż własnymi piersiami a z braku nas nasze pokolenia kierowane wedle wskazań Marszałka.

JAN BŁOTNICKI, sekr. pl.

Sprawozdanie roczne Placówki Ruda Śl.

(za rok 1936-37)

Placówka liczy 49 członków. Zadeklarowało się 2 członków, którzy otrzymali legitymacje. Jeden członek wystąpił dobrowolnie, albowiem nie służył w Armii Polskiej we Francji. Ze stanu tutejszej Placówki skreślono jednego członka z powodu przesiedlenia się do Rybnika. Z Placówki Pawłów przyjęto jednego członka, który przyprowadził się do Rudy.

Placówka odbyła zebrań 10 miesięcznych, 5 zarządowych, 1 nadzwyczajne i 2 zebrania komitetowe. Z wszystkich zebrań sporządzono protokóły. Zawiadomienie o zebraniach otrzymali członkowie na piśmie w formie okólników lub też zaproszeń. Na każdym zebraniu miesięcznym było około 70% obecnych.

Placówka posiada na własność:

1) jeden sztandar
2) jedną książkę pamiątkową z 44 fotografiami z odbytego poświęcenia sztandaru
3) jedną książkę protokułów
4) dwa skorowidze
5) jedną listę ewidencyjną
6) jeden dziennik podawczy
7) jedną książkę kontroli uczęszczania na zebrania
8) siedemdziesiąt arkuszy papieru z firmą
9) pięćdziesiąt arkuszy papieru zwykłego
10) dwieście pięćdziesiąt kopert z firmą.

Placówka otrzymała 172 pisma — wysłano 95 pism, 8 okólników.

Do samopomocy przystąpiło 33 członków, od których deklaracje wysłano do Zarządu Okręgowego w Katowicach.

Wnioski i interwencje.

Do Rudzkiego Gwarectwa Węglowego wysłano wniosek o powiększenie zarobku kolegi Wyciska i Fołombka, które zostały załatwione przychylnie.

Wniosek Rybczyka o cofnięcie go z urlopu turnusowego został uwzględniony.

Na wniosek Mateji Piotra, wysłany do D-ra Skiby o uwzględnienie go w pracy nie otrzymano odpowiedzi.

Na drugi wniosek zainteresowanego, wysłany do P. D-ra Potyki, Dyrektora Spółki Brackiej — otrzymano odpowiedź przychylną.

Na wniesiony wniosek do Zarządu Niepodległościowego o przyznanie Jękocie i Grabowskiemu zapomogi nie otrzymano odpowiedzi.

Na skutek interwencji kol. prezesa Gordały przyjęty został do pracy syn Hawlika, Stach przeniesiony został z dołowej pracy na powierzchnię, zaś Bieniek otrzymał lepszą pracę z większym wynagrodzeniem.

Wniesiono do Opieki Społecznej dwa wnioski o przyjęcie do pracy synów Kapicy i Fula. Kierownik tej opieki p. Insp. Krusz przyrzekł, że zostaną one załatwione przychylnie.

Delegacje pogrzebowe.

W pogrzebie ś. p. Mikołajczyka z Katowic brało udział trzech członków.

W manifestacji pogrzebowej ś. p. Negi z Bielszowic brało udział 9 członów.

W pogrzebie ś. p. por. rez. Gincla brało 3 członków.

Delegacje różne.

W uroczystości poświęcenia sztandaru w Częstochowie brało udział trzech członków, w Siemianowicach 16 w Świętochłowicach 23.

W związku z poświęceniem sztandaru w Knurowie urządzono wycieczkę, w której brało udział 22 członków, 3 gości i 4 osoby żeńskie (żony członków).

Z okazji przybycia do Rudy ś. p. J. E. Ks. Biskopa D-ra Bromboszcza wydelegowano na jego przyjęcie trzech członków.

W rocznicy ś. p. Janasa brało udział trzech członków.

W zjeździe krajowym we Lwowie brała udział delegacja w składzie 7 członków.

W odbytym zjeździe okręgowym w Katowicach brała udział delegacja w składzie 6 członków.

Na 7 zebraniach towarzystw Przezesów Polskich i na trzech zebraniach Związku Niepodległościowców był zawsze obecny jeden delegat.

Gremialny udział brali członkowie w manifestacji rocznicy śmierci Marsz. Piłsudskiego, w uroczystości 15-lecia wybuchu trzeciego Powstania w Katowicach, w pochodzie manifestacyjnym przeciwko zakusom niemieckim na Gdańsk, w capstrzyku, oraz uroczystości rodziny 15-lecia Powstania Śląskiego w Rudzie Śl. i uroczystości w związku z świętem Niepodległości 11-go listopada.

W uroczystości 10-lecia urzędowania Wojewody Śląskiego p. D-ra Grażyńskiego brało udział 20 członków.

Koszty podróży dla członków wydelegowanych poza miejscowość Ruda zostały pokryte z funduszu Placówki.

Warty honorowe.

Warty honorowe wystawiono w dniu rocznicy śmierci Marszałka Piłsudskiego przy płycie pamiątkowej w Karol Emanuel, zaś podczas uroczystości 15-lecia wybuchu trzeciego powstania przy płycie ś. p. Janasa, gdzie złożono wieniec.

Poza tym członkowie brali udział w imprezach i uroczystościach narodowych.

Dzięki staraniom tut. prezesa kol. Gordały miejscowa Placówka nie posiada żadnych bezrobotnych Kol. Wrocławski i syn krl. Gawlika zostali ostatnio przyjęci do pracy.

Urządzanie zabaw

Urządzono dwie zabawy, na które wysłano 300 zaproszeń, oraz dwie gwiazdki t. j. w roku 1936, 1937, podczas których obdarowano 120 dzieci od członków, zaś członkowie wraz z dziećmi podczas gwiazdki spożyli wspólnie kolację. Urządzone gwiazdki odbyły się na koszt Placówki bez pobrania opłat od członków.

Z okazji obchodu 3-go Maja w Rudzie Związek Strzelecki urządził strzelanie o nagrody. W strzelaniu tym brała udział jedna drużyna w składzie 6 ludzi. Zdobyto w 503 punktach trzecią nagrodę w formie dyplomu, zaś w okręgowym strzelaniu w Chorzowie zdobyto na 503 punkty drugą nagrodę w formie pucharu wędrownego.

Odznaczenia

Dziewięć członków otrzymało medale »Interaliee«.

Umundurowanie.

Własne mundury posiada 13 członków, zaś reszta tylko czapki

Plenarne zebranie Zarządu Głównego

Na mocy uchwały Prezydium Zarządu Głównego z dnia 21 marca komunikujemy, że dnia 18 kwietnia b. r. o godz. 10-ej w lokalu Zarządu Głównego Stowarzyszenia, odbędzie się Plenarne Zebranie Zarządu Głównego z następującym porządkiem dziennym:

1) Odczytanie protokółu z poprzedniego Plenarnego Zebrania Zarządu Głównego.
2) Sprawozdanie Sekretarza Generalnego z działalności Zarządu Głównego za okres: 24.I — 18.IV 1937 r.
3) Uroczystości jubileuszowe 20 lecia dekretu o utworzeniu samodzielnej Armii Polskiej we Francji.
4) Zwołanie nadzwyczajnego Zjazdu Delegatów Stowarzyszenia na dzień 4 czerwca 1937 r.
5) Wolne wnioski.

Ze względu na wagę spraw do rozpatrzenia, przyjazd P. T. Członków Zarządu Głównego i przedstawicieli Okręgów jest pożądany.

Z żałobnej karty



Ś. p. Mąka Józef



Ś. p. Adam Chrobot
z Placówki Sosnowiec zmarł w marcu 1937 r.

Zarząd Placówki Lwów najuprzejmiej zawiadamiamy o bolesnej stracie z powodu zgonu ś. p. Józefa Mąki jednego z pierwszych członków założycieli naszej Placówki.

Zarząd Placówki wziął udział w tej smutnej ceremonji pogrzebowej, a Prezes Okręgu Lwowskiego kpt. Ochman Feliks pożegnał zmarłego krótką żołnierską mową.

Zarząd Placówki Stowarzyszenia w Zakopanem zawiadomił Zarząd Główny o śmierci członka Placówki Kol. Molusa Piotra.

Na pogrzebie wzięła udział Placówka z pocztem sztandarowym i wieńcem.

Drukarnia i Introligatornia »JAŚMINA« Warszawa, Elektoralna 18. Tel. 6-49-66.